

Edmund Mazur

Z mego raptularza

Palestra 32/5(365), 97-101

1988

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

cia spędził w Lublinie. Pracował jako radca prawny, wiele czytał, głównie z interesujących go dziedzin: antropologii, filozofii i historii.

Zmarł w Lublinie 16 lipca 1962 roku.

BIBLIOGRAFIA

1. Akta osobowe adw. Otmara Poźniaka Nr 139/1923 ORA w Lublinie.
2. Witold Bayer: Samorząd adwokacki w dobie walki z okupacją hitlerowską, Pal. nr 5/ 1970.
3. Stefan Wolski: XXV lat adwokatury lubelskiej, Pal. nr 6/1973.
4. Jerzy Markiewicz: Walka i męczeństwo adwokatów Izby lubelskiej w latach wojny i okupacji, 1939—1945, Pal. nr 7/1974.
5. Zdzisław Krzemiński: Adwokatura polska w okresie okupacji hitlerowskiej (1939—1945), Pal. nr 2/1976.
6. Ireneusz Caban: Podziemie obozu narodowego na Lubelszczyźnie (lipiec 1944 — czerwiec 1945), „Rocznik Lubelski”, t. XV i XVI, Lublin 1985.

Między nami

EDMUND MAZUR

Z MEGO RAPTULARZA

Muszę zdradzić dziwne moje przyzwyczajenie. Otóż mam zwyczaj przechowywać wszelkie zaproszenia publiczne i prywatne, często składające się z małej karteczki, ale wielokrotnie również z okazałych materiałów. Mam zwyczaj na tych materiałach lub zaproszeniach notować różne wystąpienia własne i cudze, opatrując je na gorąco własnym komentarzem, przyznaję — nie zawsze eleganckim — używając dosadnych określeń. Nikomu tego nie udostępniam ani nie pokazuję: raz do roku robię remanent i segreguję te materiały i zapiski. Część mało istotną lub miałąką po prostu niszczyć, część skracam do niezbędnego minimum, a pozostałą część pieczołowicie odkładam do poszczególnych teczek, traktując ten materiał jako historyczny lub po prostu śmieszny, zabawny, anegdotyczny. Dla ustalenia pewnych „zaszłości”, jak piszą niektórzy żurnaliści, lubię od czasu do czasu zajrzeć do tych materiałów i tu — przyznaję się — nie zawsze tylko z powodów merytorycznych. Nierzadko powodują mną zwykła ciekawość i złośliwość.

Wyobrażam sobie, że wielu kolegów, gdybym im przytoczył

ich ówczesne wypowiedzi (nie wyłączając również własnych), przedstawione opracowania oraz kategoriyczne sądy i oceny, zapewne zaprzeczyłoby temu, posądżając mnie jeszcze o wiele brzydkich intencji i wręcz zarzucając umyślne przeinaczenia, wręcz obrażę i pomówienia. Chcę uspokoić siebie i tych kolegów (nawet już nieżyjących, ale ogólnie szanowanych i pamiętanych). Nie zamierzam nigdy wykorzystać tych materiałów — to jest moja i wyłącznie moja prywatna własność. Ale pewne problemy, spory, różnice zdań, choć nabrały już patyny, odżywiają co jakiś czas i wielu kolegów traktuje je jako coś nowego, odkrywczego, ba, rewelacyjnego, i z całą powagą głosi publicznie lub co najmniej w bufecie jako własne oryginalne poglądy. I tu chcę sięgnąć do mego raptularza, odświeżyć po prostu pamięć i swoją, i tych kolegów. Z góry przyznaję: mój raptularz jest stronniczy, jest subiektywny, jest często niesprawiedliwy, ale jest autentyczny! Pisany nie po kilku latach, dopasowywany do minionych wydarzeń, opatrzony komentarzem już dojrzałym i mimo woli przykrojonym do osoby autora. Nic z tych rzeczy! Jeżeli mój ówczesny osąd okazał się błędny, przyznam to lojalnie w postscriptum.

Opatrzywszy tym przydługim wstępem o charakterze asekurancjnym, przystępuję do „naszych baranów”, jak mawiał pewien znany satyryk.

Kiedy w 1955 r. grupa adwokatów z ówczesnej Naczelnej Rady Adwokackiej (a właściwie z Wydziału Wykonawczego NRA) postanowiła poczynić starania o wydawanie swego pisma, wyłoniły się od razu spory i różnice poglądów co do samej koncepcji oraz charakteru pisma. Pomijam szczegóły techniczne (jak znalezienie wydawcy, uzyskanie przydziału papieru, uzyskanie odpowiedniego zezwolenia na druk i na kolportaż itp.), bo choć nie były to trudności błahe, w końcu udało się je pokonać dzięki inwencji, uporowi i pewnym „znajomościom” części kolegów. Animatorami tego pomysłu było w zasadzie dwóch kolegów: nieżyjący już adw. Stanisław Janczewski oraz adw. Franciszek Sądurski. Oczywiście nie działali oni w pojedynkę, grupowali zmieniające się grono kolegów, większe lub mniejsze, w zależności od potrzeby i inicjatywy samych kolegów.

Już na wstępie wyłoniła się wtedy kwestia, czy ma to być pismo Warszawskiej Izby Adwokackiej czy Naczelnej Rady Adwokackiej. Okazało się, że Warszawska Rada Adwokacka jest zbyt słaba ekonomicznie i niezbyt jednomyślna co do samej koncepcji. Właściwie jedynym orędownikiem był tam adw. Stanisław Garlicki. Ponadto zmiana społeczno-politycznych układów wyraźnie wskazywała na kierunek centralistyczny. Zwyciężyła więc koncepcja pisma centralnego. I tu powstał problem: czy ma to być organ adwokatury, czy organ Naczelnej Rady Adwokackiej?

Spór, jaki rozgorzał wokół tego — w moim przekonaniu — pozornego problemu, odżywa co jakiś czas, przeważnie jako pretekst przy okazji zmian personalnych. Jest wiele argumentów przemawiających za koncepcją obecną, ale wystarczy przytoczyć dwa: otóż po pierwsze, każde pismo musi mieć swego sponsora ściśle i precyzyjnie określonego oraz powszechnie znanego, najlepiej o liczącej się sile przebiccia (wystarczy porównać analogiczne sytuacje we wszystkich pionach wymiaru sprawiedliwości), a po wtóre, Naczelna Rada Adwokacka zawsze reprezentowała i reprezentuje adwokaturę polską. Nie ma tu więc żadnych sprzeczności intencji ani interesów. Oczywiście mogą występować pewne różnice poglądów, ale nie mają one charakteru antagonistycznego. Rozsądna Naczelna Rada Adwokacka nigdy nie narzuca na siłę swoich poglądów pismu, pozostawia mu maksymalną swobodę — jest po prostu w jej dobrze pojętym interesie, aby pismo jako jej formalny organ było odzwierciedleniem poglądów całego środowiska. Trzeba przyznać z perspektywy 30 lat, że zasada ta była na ogół przestrzegana, a małe wahnięcia nosiły charakter koniunkturalny — osobowy i nie wypaczyły ani charakteru pisma, ani też nie zantagonizowały środowiska.

Tak więc ten rozdział dyskusji można uważać za zamknięty i rzeczowo wyjaśniony. I naprawdę nie warto kruszyć kopii o problem przebrzmiały i pozorny. Ale nawet zwolennicy obecnego stanu prawnego co jakiś czas podnoszą znowu pozorny problem personalny sprowadzający się do postulatu, aby o wszelkich zmianach w komitecie i redakcji decydowała NRA. Tu należy odwołać się po prostu do przepisów i tradycji. Przepisy wszystkich dotychczas obowiązujących ustaw o adwokataturze (niezależnie od ich nazwy) nie przewidywały i nie przewidują tego uprawnienia wyłącznie dla NRA, odsyłając generalnie do uprawnień Prezydium NRA. A tradycja jest również nie bez znaczenia: nigdy dotychczas nie było precedensu odmiennego, zawsze leżało to w gestii Prezydium NRA i mam nadzieję, że pozostanie tak nadal. Pamiętam, że po powołaniu mnie do Redakcji, na kilku posiedzeniach — i nie tylko tam — dyskutowano odwieczny problem każdej prasy. Czy „Palestra” ma być fotografią środowiska i organów samorządu (a może tylko jednego z nich?), czy po prostu odzwierciedlać nastroje, emocje, problemy, kłopoty i radości, czy też powinna kształtować poglądy kolegów, spełniać rolę stymulatora o pożądanym kierunku? Mój Boże, ileż to godzin przegadano, ileż to argumentów rzeczowych i rzekomych przytoczono, ile to wódek przy tej okazji wypito! A propos wódek. Przypominam sobie i taką dyskusję w Kameralnej na Foksal, kiedy zjedliśmy dwie kopy raków. Zmilczę uczestników, bo niektórzy jeszcze żyją i cieszą się dobrym zdrowiem (i apetytem), ale te raki! Wierzyć się nie chce, że można było ot tak, po prostu,

zamówić sobie telefonicznie dwie kopy raków i przyjść w dobrej kompanii na, powiedzmy sobie, przystawkę. Łza się w oku kręci!

Przepraszam za ten wtęć, ale figuruje on w raptularzu, nawet z pieprzonymi anegdotami.

Nie przeszkadzało to nam toczyć poważnych dyskusji na interesujący nas temat, który znowu okazał się nie tak bardzo skomplikowany. Po prostu przestudiowałem — nie pomnę już tytułu — pewne dzieło o istocie informacji, jej pożytkach i głosicielach celowo używających tego argumentu. Nie zgodziłem się z nim i nadal nie zgadzam, ale wyjaśniło mi to wiele spraw o złożoności zjawisk, o wielu odmianach barw, o wielu prawdach oraz o wielu kłamstwach i fałszach celowych i nieświadomych. Zabrzmia to może cynicznie, ale zanotowałem wówczas taką myśl, że nie ma nic absolutnego, nawet prawdy i wiary. To nam się czasem wydaje, że coś takiego istnieje, ale nie mamy wzorca sprawdzającego. Oczywiście trywializuję, sprowadzam sprawę do doświadczenia (Kartezjusz się kłania!). Człowiek wierzący (obojętnie jakiego wyznania, dziś czy przed tysiącami lat) nie ma tych rozterek, on po prostu wierzy, przyjmuje pewien aksjomat, któremu się poddaje bez zastrzeżeń. Ale bądźmy zupełnie szczerzy: czy nigdy nie przeżywa rozterek, chwil zwątpienia, rozpacz, czy nigdy nie grzeszy, czy nigdy nie bluźni?

Otóż to, redagować pisma nie można jednostronnie, gdyż służy wielu czytelnikom, a każdy z nich to indywidualność, to jego wyobrażenie o prawdzie, woli, wyborze (wolnym czy koniecznym?) i o wielu jeszcze innych sprawach, o których się nikomu nie śniło. Jak więc pogodzić te często sprzeczne interesy? Starać się pisać rzeczy interesujące większość, znaczną większość, nie rezygnując bynajmniej z prezentowania własnych poglądów. W naszym piśmie jest to stosunkowo proste, gdyż łączy nas jedna profesja: prawo i sprawiedliwość, odzwierciedlać więc zainteresowania większości (i to znacznej) jest stosunkowo proste. Natomiast kształtowanie jest procesem bardziej złożonym, jeśli się uwzględni intelektualizm czytelnika, nieprzeciętną zdolność do pogłębionej analizy, połączony często z zadufaniem i brakiem samokrytycyzmu. Trzeba to czynić bardzo delikatnie, nie narzucając własnego zdania, raczej skłaniając do refleksji, przy zastosowaniu pełnego poszanowania dla poglądów odmiennych, przy pełnej tolerancji osobniczej.

Na marginesie tych zanotowanych przed laty rozważań nie sposób nie zauważyć, że obecne lata 1981—1987 cechuje większa tolerancja myśli materialistycznej. Jest to swoisty polski paradoks: myśl materialistyczna, wspierana przecież przez znaczące ośrodki oficjalne i rozporządzająca dużą siłą (nie tylko przekonywania), nie czyni użytku z posiadanych możliwości, stosuje gesty o wielorakim znaczeniu, zachęca do dialogu i pojednania, wprost

głosi o koalicyjnym systemie sprawowania władzy. Nie jest to odczytywane realistycznie, niektórzy poczytują to za znak słabości i ciągle na coś oczekują, ciągle na coś liczą, ciągle się łudzą — pół biedy jeżeli sami — ale ludzą też innych. Racjonalizacja myśli i działań czy myśli i działania racjonalne? Nie chcę nic narzucać ale obiecałem być subiektywny i nie mogę ani nie chcę od tego odstąpić.

Przy staraniach reaktywowania „Palestry” niebagatelną rolę odgrywała nazwa pisma. Ówczesne władze administracyjne stanowczo nie wyrażały zgody na nazwę przedwojenną. Trudno teraz dociec, dlaczego — chyba z nadgorliwości neofity. Proponowano więc nowe nazwy, ale każda z nich miała w tytule dwuczłonowym słowo „Palestra”. Wreszcie ktoś wpadł na pomysł nazwy „Biuletynu”. To „chwyciło” i udało się pokonać wszelkie bariery administracyjne. Był to rok 1955, a właściwie przełom 1956 r. Po znanych wypadkach październikowych uległa nowelizacji również ustawa o ustroju adwokatury. Pewne bariery administracyjne zostały obalone. Już w drodze faktycznej, bez żadnego zezwolenia wrócono do nazwy przedwojennej.

Ciągle jednak nie mogę zrozumieć, dlaczego obchodziliśmy jubileusz 30-lecia, a nie 63-lecia (a odliczając przerwę wojenną i do roku 1955 — 45-lecia). To przecież nie tylko nazwa naszego pisma, to również to samo grono czytelników i autorów (co prawda już inne generacje), to również ta sama problematyka zawodowa i społeczna. Czy nie czas wreszcie usankcjonować nasz rodowód myśli, tradycji, spuścizny historycznej, dorobku prawniczego w nauce polskiej? Jestem gorącym tego zwolennikiem i jeżeli doczekam następnego jubileuszu, postawię sprawę ponownie.

Recenzje

ADWOKACI W OCZACH ALAINA PEYREFITTE'A

Wydana niedawno w tłumaczeniu polskim książka Alaina Peyrefitte'a, której tytuł dobrze oddaje jej treść, powinna być z wielu względów przedmiotem naszego zainteresowania.¹

Przede wszystkim dotyczy ona tematu, wiecznie aktualnego w równej mierze we Francji jak i w Polsce. Tematu, w którym należy uzyskiwać stale właściwe, a nigdy nie ostateczne rozwiązania, i którego nigdy nie będzie można uznać za wyczerpany

¹ A. Peyrefitte: Wymiar sprawiedliwości między ideałem a rzeczywistością, Warszawa 1987.